

z jakimś blokiem na Żoliborzu, zamiast tak charakterystycznych niskich okienek naszych wiejskich mieszkań; nawet zasłona na nim kojarzy się w sposób dość bolesny raczej z jakimś obiektem do zaciemniania z czasu ostatniej wojny, aniżeli z pocziwą, starą roletą. Ściany gołe i ponure; ani jednego drobnego przedmiotu, z którym mieszkanki mogłyby mieć jakiś kontakt, nic świadczącego o jakichś ich osobistych upodobaniach, sentymentach... A w tym przypadku funkcja każdego elementu architektury, każdego rekwizytu, ma specjalne znaczenie, bo tu przecież chodzi nie tylko o kobiety, ale i o ich dom.

Ale z tym wszystkim przedstawienie ma wysoką klasę. Triumf aktorek, reżyserki, no i autorki. Górą kobiety.

Zofia Nałkowska: *Dom kobiet*, reżyseria Maria Wiercińska, scenografia Zofia Węgierkowa, premiera 11 VI 1955, Teatr Polski (Teatr Kameralny) w Warszawie.

„Teatr” 1955 nr 14.

Jadwiga Turowicz⁴

Stwierdzenie, że teatr jest sztuką par excellence społeczną, że każdy, nawet najgenialniejszy twórca sceniczny znajduje się w stosunku ścisłej zależności od wszystkich uczestników tej całości, jaką stanowi spektakl (zarówno od swych partnerów artystycznych, jak technicznych, a nawet administracyjnych komparsów), że więc chcąc się poświęcić tej cudownej i wzniosłej, a tak ciężkiej i okrutnej profesji, trzeba poza talentem, wiedzą i innymi elementami niezbędnymi w każdej dziedzinie twórczości – posiadać jeszcze wybitny instynkt współżycia społecznego – jest prawdą starą jak świat, a w każdym razie jak samo istnienie teatru. Nie potrzeba się chyba rozwodzić nad specyfiką pracy aktora, nad jego szczególnie drażliwą i pobudliwą psychiką, jego uczuleniem

⁴ Jadwiga Turowicz (1885-1945), aktorka, reżyserka, pedagog. Od 1932 wykładała na Wydziale Sztuki Aktorskiej PIST w Warszawie, w latach 1932-34 była sekretarzem PIST-u, w 1934-1939 zastępczynią dyrektora, przy czym w 1937/38 pełniła obowiązki dyrektora. W czasie okupacji uczyła aktorstwa w podziemnym PIST, współpracowała z Tajną Radą Teatralną.

nerwowym, zmiennością nastrojów i emocjonalnością, wymagającą tym większych zdolności opanowywania się, tym subtelniejszych metod w kontaktach międzyludzkich, tym bardziej harmonijnego zgrania się członków teatralnej społeczności. Wszystkie te sprawy znane są powszechnie, braki w tej dziedzinie dyskutowane są aż nadto, a przecież za mało chyba wyciąga się z nich konsekwencji w praktyce – zwłaszcza w dziedzinie wychowawczej. Tak się jakoś wydaje, że przy szkoleniu młodych adeptów do zawodu aktorskiego na tę właśnie sprawę zbyt słaby dziś kładzie się nacisk.

Te konsekwencje umiała wyciągnąć i wcielić w życie Jadwiga Turowicz.

Zaledwie 10 lat mija od chwili jej śmierci, a tak niewiele już się o niej mówi. Obawiam się, że nasza obecna młodzież aktorska – jeżeli w ogóle coś o niej słyszała – wyobraża ją sobie przede wszystkim jako złą i kochającą „wychowawczynię” dawnego typu. Ot, taka znana wszystkim z literatury popularna sylwetka dobrej, opiekuńczej, trochę staroświeckiej nauczycielki. Wyblakła, sentymentalna klisza...

Nic bardziej odległego od tej roli, jaką w stosunku do całej generacji ludzi teatru – generacji określanej dziś jako „średnia” – odegrała pani Jadwiga.

Tak, była idealnie dobra i opiekuńcza, ale nie miała nic z łatwej tkliwości; była raczej surowa i wymagająca. Tak, lubiła, więcej nawet – kochała wszystkich swych wychowanków, ale nie płażała im nigdy. Prawda, zależało jej jak najsilniej na rozwoju i powodzeniu każdego z nich, ale jeszcze bardziej zależało jej na tym, czemu ci młodzi zamierzali się poświęcić – na teatrze. Teatr był naprawdę, dosłownie, sprawą jej życia i z całą pasją swej gorącej natury żądała, aby stał się również sprawą życia każdego z jej uczniów.

Nie byłam nigdy jej bezpośrednią uczennicą. Uczęszczałam na wydział reżyserski PIST, który miał swoją autonomiczną dyрекcję (Leon Schiller) i naczelnemu kierownictwu Instytutu podlegał, formalnie biorąc, tylko od strony administracyjnej; pani Jadwiga była kierowniczką i wychowawcą wydziału aktorskiego i w nasze sprawy nie ingerowała. De facto jednak wraz ze wszystkimi słuchaczami obydwu wydziałów znalazłam się bardzo szybko w orbicie jej pedagogicznego oddziaływania. Z jednej strony wpływał na to niezmiernie bliski, nieomal „rodzinny” system współżycia wszystkich słuchaczy i większości profesorów



Il. 22. Jadwiga Turowicz, około 1900

(moment niezmiernie ważny ze względów dydaktycznych – właśnie przy szkoleniu adeptów sztuki teatralnej, kto wie, czy nie ważniejszy niż wszelkie ułatwienia i rozbudowa techniczna); z drugiej strony – wynikało to ze szczególnej wrażliwości jej serca, z faktu, że nie potrafiła pozostać obojętna w stosunku do kogokolwiek z młodych przechodzących przez jej szkołę (którą na nowych podstawach zaczęła tworzyć, zanim jeszcze przejęli inicjatywę w swe ręce tacy dwaj mistrzowie, jak Zelwerowicz i Schiller).

Nie umiem wiele powiedzieć o jej metodach fachowego nauczania rzemiosła aktorskiego; być może, że nie wszystkie można by dziś przyjąć bez dyskusji. Ale jeżeli chodzi o wycucie norm etycznych i obyczajowych członka społeczności aktorskiej, o przygotowanie przyszłego aktora do życia w teatrze i dla teatru, o ów ogólny *sensus theatralis* – miała pani Jadwiga instynkt nieomylny, dar rozeznania, widzenie rzeczy bezbłędnie trafne i głęboko sprawiedliwe.

Czego żądała, co starała się wyrobić u swych wychowanków?

Przede wszystkim surową uczciwość i rzetelność w stosunku do własnej decyzji pracy w teatrze. Nie mogło tu być żadnych wewnętrznych niedomówień; kto wstępuje na tę drogę, musi wiedzieć z całą pewnością, niezachwianie, że teatr jest dla niego jedyną, a w każdym razie najwłaściwszą formą wypowiedzi. I musi zdobyć się na wewnętrzne

zobowiązanie, że nie będzie się teatrem posługiwał, ale odwrotnie, że będzie teatrowi służył. W przypadku, gdy tylko pojawiały się oznaki jakiejś narcyzowości albo, co gorsza, skłonności do traktowania teatru jako środka dla celów ubocznych – pani Jadwiga stawiała się twarda i niemal bezlitosna. Nic nie pomagał wówczas wdzięk i układność delikwenta, jego odwoływanie się do macierzyńskich odruchów pani Jadwigi; „Ciotka” była w takich momentach nieubłagana i przekreślając wszelkie swoje sentymenty i sympatie osobiste, wyciągała najostrzejsze konsekwencje – aż do relegowania włącznie.

Dalej – żądała poczucia odpowiedzialności. Odpowiedzialności nie tylko za konkretne zadanie, które komuś przypada (to rozumie się samo przez się), ale i za tę sprawę nadrzędną, która musi się stać sprawą najbardziej osobistą każdego członka zbiorowości aktorskiej – za teatr. Takie podejście musi z kolei rodzić określoną postawę, determinuje określony stosunek i do dzieła, które się tworzy samemu, i do tych wszystkich, którzy są tego dzieła współtwórcami. Jeżeli w młodą i elastyczną psychikę potrafi się wdrożyć poczucie nierozdzielnej łączności z współtowarzyszami pracy, jeżeli zdoła się w umysłowości adepta wyrobić zrozumienie prawdy, że walor jednostkowy uwarunkowany jest wartością nadrzędnej całości – musi on stopniowo zacząć myśleć i odczuwać kategoriami tej całości, przełamywać wrodzony egoizm, pyszałkowatość, zaborczość i nagiąć się do norm współżycia z otoczeniem – chociażby w imię własnego interesu.

Dlatego właśnie myślę, że można bez żadnego patosu, rzeczowo i obiektywnie potraktować jej działalność jako ideał pracy wychowawczej – i to specjalnie w dziedzinie teatru. Bo właśnie wrażliwa, nerwowa, tak często nieodpowiedzialna i skłonna do egocentrycznych przerostów psychika młodego aktora potrzebuje takiej ciepłej, serdecznej przychylności i niekłamanego osobistego zainteresowania – przy równoczesnej surowości czy nawet bezwzględności wymagań, sprawiedliwości, ładu i zdyscyplinowania.

A przy tym wszystko to, czego uczyła i czego żądała, poparte było jej własną postawą życiową, jej niesłychaną prawością, poczuciem godności i honoru zawodu aktorskiego, ofiarnością najbardziej integralną, najbardziej dosłownym oddaniem swego życia sprawie teatru i młodzieży.

Podczas okupacji Jadwiga Turowicz – chora już wówczas ciężko na serce – pełniła funkcję kierownika tajnego PIST-u. Ten prawdziwie

heroiczny i chyba najpiękniejszy okres jej życia doczeka się niewątpliwie dokładnego i fachowego omówienia; dotyczy to zresztą całej historii podziemnego PIST-u, historii stanowiącej chlubę teatru polskiego. Nie mając wówczas bezpośredniego kontaktu z Instytutem, nie czuję się uprawniona do naświetlania tych dziejów, nie mogę jednak nie wspomnieć o tej najczulszej pomocy i opiece ze strony pani Jadwigi, z których danym mi było – jak tylu innym – osobiście korzystać. Zapracowana, zapędzona, stale poważnie niedomagająca, znajdowała czas i energię, by przybiec do mnie – często z jakąś pomocą materialną, gdy nie mogłam sama wychodzić z domu; wielokrotnie też udzielała mi schronienia w swym skromnym mieszkaniu na Żoliborzu. Niezapomniane będą dla mnie na zawsze ówczesne z nią rozmowy o wszystkich jej „dzieciach”, o chłopcach w oflagach, o uwięzionych, o umarłych, o borykających się z nędzą i chorobą, o walczących z wrogiem i z własną słabością. I o tych najmłodszych, których wraz z garstką innych niezmordowanych bojowników sceny polskiej wtedy właśnie, wbrew grozie i gwałtom nocy okupacyjnej, w niezłomnej wierze quia absurdum, wychowywała na współtwórców przyszłego teatru wolnej Polski. W tych rozmowach z jej strony – osoby już niemłodej, steranej chorobą i niesłuchanie ciężkimi warunkami bytu, obarczonej mnóstwem obowiązków rodzinnych – nie dochodziła nigdy do głosu jakakolwiek skarga osobista. Po prostu nie myślała o sobie. Cały wysiłek jej woli, każde uderzenie jej serca skierowane były ku innym – ku ludziom, których kochała, ku idei której służyła.

Zdawkowe, niedołączone określenia: „poświęcenie”, „wielkoduszność”, zastosowane do tej osoby, nabierają nowej świeżości, siły i blasku. Te prawdy, którym oddała swe życie, muszą być i naszymi prawdami, jeżeli nasza praca ma mieć jakiś sens, jeżeli teatr istotnie jest dla nas jakąś sprawą. W imię tej właśnie sprawy nie wolno nam zapomnieć o Jadwidze Turowicz.

„Teatr” 1955 nr 23.